

665

Po prostu kuchnia

Pisząc o warszawskiej inscenizacji „Kuchni” jeden z krytyków przytoczył zdumiewającą, jego zdaniem, deklarację Weskera. Chodziło o filozoficzne podteksty. Nic takiego w mojej sztuce nie ma — powiedział autor. Jest to rzecz o kuchni i tyle.

Nie wiem, na ile wypowiedź angielskiego dramaturga była szczerą, ale chętnie dedykowałabym ją współczesnym polskim autorom. Zwłaszcza zaś tym, którzy za jedyny temat godny swego pióra uznają opisywanie losów ludzkości lub jej poszczególnych przedstawicieli, mechanizmów rządzących światem, jednym słowem Spraw Wielkich i Ważnych. Odkrywają przeto, tak im się przynajmniej zdaje, głębokie prawdy o życiu, samego życia nie dostrzegając.

„Kuchnia” Weskera, to właśnie taki kawałek życia, utrwalonego przez bystrego obserwatora i dobrego pisarza. Otrzymałoby obraz jest wycinkowy, ale przez to i autentyczny. Jest co prawda naczeln-

na fabuła, rodzaj konfliktu, śpięca z jakimś zakończeniem, ale towarzyszą temu inne wątki, inne sprawy, które nie mają finału i wcale go mieć nie muszą.

Wchodzimy po prostu do restauracyjnej kuchni i oglądamy pracę jej personelu. Od wczesnych godzin rannych do wieczora. Każda z trzydziestu zatrudnionych w niej osób ma swoje sprawy, problemy. Jedna kelnerka kłóci się z mężem, inna jest w ciąży, jeszcze inna romansuje z jednym z kucharzy. Opuszczając kuchnię nie wiemy czym się ten romans zakończył, czy kelnerka urodziła dziecko, co się stało z kucharzem, który zdemolował restaurację i czy inny kucharz Irlandczyk przyzwyczaił się do tempa pracy, które go tak przerażało na początku.

Kuchnię na scenie mamy autentyczną. Prawie. Potrawy i zapachy musimy sobie wyobrazić. Nie jest to wcale trudne. Aktorzy tak sugestywnie wykonują przydzielone im rolemi czynności, że niemal się widzi te smażone i nakła-

dane na talerze kotlety, kurczaki, halibuty i płastugi, czuje ciężar kotłów z zupą i tac z potrawami wnoszonych na salę restauracyjną. Pod koniec pierwszej części tempo „pracy” jest tak wielkie, że oddychamy z ulgą, gdy gasną światła i niknie nam z oczu ta ogromna machina kuchenna z ludźmi zamienionymi w automaty.

Przygotowanie spektaklu, w którym trzydzieści osób niemal nie schodzi ze sceny, a czynności każdej z nich są prawie jednakowo ważne i w dodatku zindywidualizowane, wymaga niezwykle wytrawnego reżysera i solidnej pracy przygotowawczej zespołu aktor-skiego o dużej sprawności. Do Wandy Laskowskiej oprócz gorących słów uznania miałabym jedną małą pretensję. O finał. Chyba lepszy byłby ten, zgodny z Weskerem, w którym po buncie Petera wszyscy wracają z powrotem do pracy, do siekania, krojenia, nakładania na talerze, jakby się nic nie stało. Bo przecież rzeczywiście nie stało się nic, kuchnia nadal istnieje.

Jeśli idzie o aktorów, to na pochwalenie z osobna trzydziestu osób (no może dwudziestu paru, bo trochę pretensji by się znalazło) nie starczy mi miejsca. Ograniczę się więc tylko do tych, którzy się szczególnie wyróżnili bez względu zresztą na wielkość roli. Z pań zatem w postaciach zupełnie epizodycznych Janina Zakrzewska i Sabina Wiśniewska, z panów zaś grający wiodącą rolę Andrzej Hrydzewicz (jedna z lepszych ról tego aktora), Piotr Kurowski, Andrzej Polkowski. Bolesław Abart (duża niespodzianka), Cezary Kusylik, Marian Wiśniowski. I aktor, któremu należą się pochwały największe — Janusz Peszek, mimo nie największej roli, główny bohater sobotniej premiery. Jego Kevin była to postać zrobiona, wykończona do ostatniego szczegółu i grana tak znakomicie, że zwracała uwagę nawet, gdy aktor nie był na pierwszym planie. Duże gratulacje.

Należą się one zresztą całemu zespołowi artystycznemu za spektakl godny odnotowania w kronikach tego teatru.

KATARZYNA KLEM

Teatr Polski. Arnold Wesker: „Kuchnia”; Przekład Kazimierz Piotrowski; Reżyseria: Wanda Laskowska; Scenografia: Zofia Pietrusińska; Premiera 20 stycznia 1973 roku.